Nr. 8. We Lwowie dnia 20. lutego 1898. Rok 6.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

SPORNE TERYTORJA.

Po powrocie z nad jezior wschodniotatrzańskich, wybrawszy się na Orawę i Liptow, rozstałem się w Witowie z góralami zakopańskimi i sam zanocowałem w pogranicznym z Węgrami Zygmuntowym Chochołowie. Źle mówię: nie sam, ale z epopeją wojny, którą przed półwiekiem wypowiedzieli byli Chochołowianie Państwu Austrjackiemu. Jeden z ostatnich żyjących bojowników jej — 80-letni Zych recytował rapsody ze spokojem homerycznym, dopóki nie przyszła pora na walkę z Czarno-Dunajcami, sojusznikami Austrji. Wówczas posągowa twarz jego mieniła się granatem, jak turnie Stawu Czarnego o zachodzie słońca, potrząsał długiemi w pierścienie dackie kudłami, czyli, jak podhalanie mówią, k i e c k a m i, a z ust jego wybuchało:

— Aze war na mnie wychodzi, kie bacem, co bez nik wysiedziałek dziesięć roków za tę reberyją w dziurze!

Nazajutrz przy pierwszym brzasku świtania, zerwałem się na nogi. Zimny poranek późnej jesieni spowił okolicę całą w mgłę gęstą, białawą, a mnie w grubą bronzową czuhę góralską; na ramiona zarzuciłem torbę skórzaną, w ręce ująłem nieodstępną ciupagę, przerobioną z rąbanicy i przeszedłszy w poprzek dolinę osady, zacząłem wspinać się na brzeżki, regle i płaskowzgórza południowo-zachodnie, oddzielające Podhale od Orawy, Galicję od Węgier, dorzecze Dunajca od Wagu. Po za mną i z boku w odległości paru kilometrów, pozostały osady orawskie Głodówki i Suchogóry, których mieszkańcy współzawodniczą od dawna między sobą o hegemonją kresową. Głodowianie podkpiwają w śpiewkach z naiwności Suchogórców:

Wyrubali, wysekali
Hłodowianie koryto;
Prysli ku nim Suchohorcy,
Pytali se: — Co je to?

Snać wszakże po za tą naiwnością było sporo rzewnego uczucia i poetyczności, bo spiewy suchogórskie obiegają całe Tatry. Z Suchej Góry też był rodem baca Kaćkos — pół Słowak, pół Polak, którego tęskną piosnkę, powtórzoną na Podhalu i Orawie lubiał śpiewać zarówno Sabała, jak dudziarz Staszko Gładczan:

Ej, syćkie wirski przeseł,
Syćkie przewędrował,
A dolinki nie moze,
Mój ty mocny Boze.

Przypomniałem ją sobie teraz mimowolnie, przechodząc szybko wśród niezmąconej dokoła ciszy, przez debry i dolinki naprawdę niewielkie. Od strony lewej i z przodu zataczały kręgi, jakby mi drogę zastąpić miały, szarzejące zdala z poza mgły turnie i strażnice pasma Tatr zachodnich Bobrowiec, Wołowiec, Osobita. Rozchyliłem czuhę, aby wydobyć i zapalić ratułowiankę, a tu nagle ozwał się głos ludzki:

— Studzieny wiater owija, a Ich Miłość czuhę ozwija!

Z poza krza jednego brzeżka wychyliła się postać chuda, wyniosła, pomykająca chyżo w tę samą drogę, co ja. Był to stary góral

Stękała z Cichego na Podhalu, podążający na Liptów, ku trzem synom swoim, którzy tam juhasowali przy jakimś bacy. Przystanęliśmy. Zamiast fajki, wydobyłem z torby wina podróżnego, częstując nim siebie i starego; on zaś wywzajemniał się mi plackiem żytnim, żarnowym, który mu córka na całodzienną drogę upiekła, a który — jak zapewniał — chutniejsy jako chlèb. Podawał mi z gościnnością szeroką, a zwykłą na tych wielkich pustaciach, gdzie spotkanie się dwóch ludzi bywa wypadkiem niezwykłym: przytrzymywał tobołek podróżny z plackiem — czterma palcami ręki; piątego brakowało:

— Gdzieście palec utrącili? — pytam.

— Krzesowałek gałęzie ze smereki i rąbanica wpadła mi na palec, kied wołalek Symka na młodsego.

— Późno ożeniliście się? — zauważyłem, patrząc na wychudłe krzepkie plecy, ale już dźwigające siedm krzyżyków:

— Było mi ctérycat (40) roków — zaciął ze słowacka — i gorączkowo żachnął się do drogi, nagląc Szymka.

— No, biermy się, no, podźmy.

Pilno mu było, bo chorość zdjęła owego Szymka, dziś juhasującego wśród liptowiaków i bał się stary — czy nie umrze.

Ruszyliśmy raźno po mszystych kamieńcach, porosłych bruśnicami i czernicami na pochyłościach parowców ku dolinie Orawskiej. Dział wód dawno zostawiliśmy za sobą, ani się spostrzegło, jak się przeszło z syst matu bałtyckiego do czarnomorskiego: przejście było szybsze i mniej dostrzegalne, niż np. we wschodniej Galicji, z ziemi lwowskiej do halickiej. Zachodnia Orawa Beskidami, a południowa orawskiemi wyżynami zasłonięta od północy wykazują nieco odmienne linje izotermiczne od podhalskich: różnica między nimi taka, jak między Liptowem, a Orawą. Gdy w tej ostatniej o tydzień, o dwa wcześniej, niż na Podhalu, wyganiają wiosną owce na hale, w Liptowie — o tyleż wcześniej w porównaniu z Orawą: południowo-orawska i liptowska trawa bujniejsza i podój z niej obfitszy, a tłustszy, stąd bryndza liptawska i oszczepki cenione są w handlu ponad inne; zaledwo niekiedy im dorównają słynne na Podhalu sery z Pysznej. I nie naprożno gdy chłopak podhalski weźmie dziewuchę do tańca swego lub orawskiego, a stanie przed muzyką, śpiewa liptawską:

Ja se chłopak darowany,
Oscepkami wychowany.

najczęściej tak, jak owi trzej synowie Stękały na juhasowaniu.

Jak na Spiż aż do Kezmarku jeżdżą Podhalanie po pszenicę, żyto i niekiedy ziemniaki, tak znów na Orawę pod Czcianę (Trzstenę) i Kubin po kapustę.

Ale północna część, a zwłaszcza północnowschodnia Orawy, niczem się nie różni od Podhala, ba — nawet w tem ostatniem bywają głębsze, lepiej zamknięte, cieplejsze doliny, jak np. Ratułowska, „z wyżniego końca barzej odparzysta — (jak ją charakteryzuje Andrzej Słodyczka, góral na roli słodyczkowej), wiater nie ducha znikąd", gdzie śliwki i gruszki mało co gorzej dojrzewają, jak w Krakowskiem.

Za to na Orawie — dla małego zaludnienia — ziemia tańsza. Gdy więc dawniej spokojniejsi Orawiacy uciekali przed burzliwymi liptowiakami na Podhale w jej odparzyste doliny, a podhalanie szli na zbój na Liptów, tak dziś niejeden z potomków tychże podhalan, gdy mu się zarodzi więcej gawiorów (dzieci), niż się spodziewał, część gruntu sprzedaje i za cenę każdego jednego morga kupiwszy dwa — trzy na Orawie, bądź część rodziny przez ożenienie, lub zamęście wyposaża ziemią orawską, bądź sam tam się przenosi, a dziedzictwo podhalskie zostawia dzieciom.

(C. d. n.).

Ostatni romantyk.

(Ciąg dalszy).

Rok 46-ty, krwawemi zgłoskami znaczący się w dziejach Galicji, wywołał „Skargi Jeremiego".

Jest to zbiór hymnów, (w liczbie dwunastu poprzedzony „słowem Jaremiego", w których przez usta proroka-karciciela poeta narodowi swemu w proch upadłemu, w potokach krwi bratobójczej zastygłemu, ofiaruje najboleśniejsze, lecz i najwznioślejsze tony swojej lutni.

Niejednakowego są one nastroju. Jedne, jak samo słowo wstępne, tchną żądzą zemsty i wołają o nią do pognębionego narodu. Podźwignięcie z upadku, wstrząśnienie pęt niewoli, wiara w nieśmiertelność i tryumf przyszłości brzmi z każdego tonu tych wstrząsających hymnów. Smutek miewa tu często barwę rozpaczy, przechodzi w szemranie lub śmiałym buntem stawia się przeciw niebiosom. Niekiedy ostre tony zmieniają się tu w akord cichy kornej, rzewnej prośby do Boga, wrzące pragnienie zemsty pokrywa nuta bardziej miękka, śpiewana, dźwięczy w niej miłość powszechna, chrześcijańska, przebaczająca, nie pragnąca zła nawet dla wroga.

Niewątpliwie zwrót ten osłabia grozę gromów, ujmuje artystycznego piękna, któreby jawniej wystąpiło w szacie jednolitej barwy — niszczącego ognia, lecz niezrównanie wysoko podnosi utwór pod względem etycznym. A słuchając Skarg Jeremiego“ zapomina się łacno, że z utworem literackim ma się do czynienia: duch się skupia, zniżają się głowy, modlimy się... Zaś przy modlitwie nie myśli się, czy modlimy się pięknie.

Inne ze „Skarg“ mają charakter przeważnie głębokiego smutku, olbrzymiego bolu lub tej tęsknoty bez brzegów, bez granic, przy której serce ściska się w kleszczach, a oczy patrzą sucho, ostro.

W „Modlitwie więźnia“ łzawej, cichej, bolesnej, lecz duchem wolnym lecącej w wolne wyżyny, po nad cierpienie własne głośniej przemawia troska o los kraju. Tęskni za swo bodą, za gniazdem rodzinnem, jak za rajem utraconym, a jednak modli się ofiarując siebie na dalsze męczarnie, jeśli te tylko mogą bardziej poprzeć ojczystą sprawę, niż życie „prześlizgane marnie“. Potężniejszą jest jeszcze „modlitwa ojca przy chrzcie syna“.

„Czarny kir biorę — dziecka jasne skronie
Żałobnym znakiem pokutnika słonię,
Krzyż mu podkładam, z którym będzie chodził,
I tak go niosę w świątyni podziemia,
Bo oto w ziemi Twego potępienia
Nowy niewolnik się zrodził!

Gdybym mógł, Panie! jabym mu za młodu
Wyporał serce, co jest nakształt wrzodu,
A będzie chodził swobodnie, choć luźnie,
Bo ci szczęśliwi tylko w swym żywocie
Co zapomnieli o sercu, o cnocie...
O Panie, Panie! — ja bluźnię!!

Więc mu krzyż Pański kładę do prawicy,
Garść z naszej ziemi rzucam do chrzcielnicy,
Imię tej ziemi na piersi mu piszę,
I oko jego obracam na słońce;
Dwóch krzywych szabel skrzyżowałem końce,
Na szablach dziecię kołyszę!

Chrzest się dopełnia — o Panie! o Panie!
Niechaj to dziecię w przyszłości powstanie
Obrońca wiary, bohaterem, mężem!
Za słońcem prawdy niechaj się kieruje,
Niech swą ojczyznę nad życie miłuje,
Niech ją wywalcza orężem!

Tu już słyszymy ową wstrząsająca grozę uczucia i siłę, które w Chorale biją z każdej strofy.

Są to nasze narodowe „Żale“, podobne tym, jakie miała niegdyś Judea; bo tylko narody zostające w niewoli i umiejące czuć tę niewolę zdolne są rodzić takich piewców i podobnie potężnemi modlić się hymnami. Mówią, że kiedyś, w dniu powszechnej wolności, ludzkość będzie jeszcze wspanialsze mieć pieśni, lecz my dziś potęgę piękna osiągamy tylko w wyżynach cierpienia.

„Skargi Jeremiego“ dzielą się na dwie części; pierwsza pisana jest zaraz po 40 roku, druga zawiera ustępy w różnych chwilach i czasach pisane już po 63-im. Druga część znacznie pod każdym względem ustępuje pierwszej. Nie spotyka się już tej grozy, idącej z umęczonego a skupionego w sobie ducha; tej prostoty poważnej w wypowiedzeniu myśli, dreszczem przejmujących, częściej natrafić można na napuszoność stylu i formy, na pewne urabianie, nie zaś wyrzucanie rymów z przepełnionego serca. Jedynie Na stoku cytadeli“, wiersz poświęcony pamięci Trauguta odzywa się jeszcze dawnemi tonami.

Poemata i urywki drobniejsze pojawiły się po pierwszej części „Skargi Jeremiego“.

Niewielki to zbiorek i prace tu pomieszczone są to raczej krótkie, dorywcze opowiadania, niż poematy zakończone w sobie; wszystkie zaś poświęcone są jednej zasadniczej myśli, miłości dla kraju. W najrzewniejszej z nich i najpoetyczniejszej „Powieści sybirskiej“ wątek wprawdzie jest wzięty z tematów ogólno ludzkich, lecz tło dane opowiadaniu, zarówno jak postać główna mają jedynie te znane, dro gie poecie tony. Wspaniale, kilku niedługiemi przemówieniami wyrzeźbioną jest postać długoletniego wygnańca Sybiru. Poważna, spokojna, ze wzrokiem łagodnym i jasnym, w którym po przebytem cierpieniu ubłogosławienie ciszy spoczęło, usta ma tylko zawsze na prawdę rozwarte, niema w nich wszakże żółci ani niechęci dla współczesnych; własnych ofiar i cierpień nie poetyzuje, w patos nie ubiera; owszem, cechuje go pewna szorstkość nabyta w żołnierce i pozór surowy, pod którym kryło się serce miękkie i młode, czyste jak serce dziewczęcia.

(C. d. n.). *W. Dalecka.*

Pośmiertne wydanie.

Z MYŚLI ZAGASŁYCH.

SZEREG PIERWSZY.

(Ciąg dalszy).

Kapryśnie rzuciła ramionami i powiedziała z komicznym patosem:

— Wtenczas szalałabym za tobą, ubóstwiałabym cię bez granic!...

I odwróciła prześliczną główkę trochę nadąsana i chmurna. Ale po krótkiej chwilce uśmiech zadrgał w kącikach jej ust, choć marsik jeszcze w gęstych brwiach gościł. Zerwała się i stała przedemną, przybrawszy pozę uroczystą i drobną dłoń wznosząc w górę.

— Przysięgnij mi, przynajmniej — zaczęła z wielką powagą, — że jeśli cię to złe skusi, użyjesz niezawodnie najdyskretniejszego pseudonimu, tak — żebym i ja nawet, żebym i ja nie wiedziała, pod którą ukrywasz się przyłbicą, nie mówiąc już naturalnie o reszcie śmiertelników!

— Ależ i owszem, przysięgam! — odpowiadam, śmiejąc się serdecznie.

— Nie! serjo cię o to proszę, daj mi słowo honoru!

— Honorem ręczę, Lilu, — odpowiadam już i ja wówczas poważnie, — że chyba wtedy tylko wyjawię przed tobą mój pseudonim, gdy on na zaszczyt ten zasłuży — i wtenczas tylko dam ci przeczytać sławne rzeczy moje.

Westchnienie pełne ulgi ulatuje z jej piersi; potem otacza szyję mą ramieniem i mówi bardzo czule:

— Dzięki ci, mój drogi. Jestem tak próżna, że się cieszę, iż nikt wiedzieć przynajmniej nie będzie, że jesteś miernością tą nieszczęsną... Nie obrażaj się tylko, nie mówię przecież grafomanem — albo nędznym skrybendą...

— O pani! — odpowiadam z głębokim ukłonem.

Tak ona myślała w przeddzień naszego dzisiejszego życia. Ja bo myślałem inaczej.

Urząd, który obejmowałem przed kilku laty z przekonaniem, że mi zostawi czas na literaturę, inaczej wygląda w rzeczywistości. Dość prędko, niestety, musiałem się zorjentować, że to zajęcie pochłania mi czasu bez porównania więcej, niż innym kolegom moim biurowym, że każdy z nich o wiele lepiej i prędzej pełniłby służbę moją. — Nie jestem prześladowany bynajmniej, — jestem tylko sprawiedliwie ceniony wedle sił moich i zdolności. Te ostatnie nadzwyczaj nędznie tu się przedstawiają. Niesłychanie tępy jestem do wszelkich operacji tego rodzaju. Sklecać podania, raporty, układać przedstawienia urzędowe, sprawozdania przeróżne — jest dla mnie wielką, trudną męczarnią. Nie cierpię tych papierów, języka ich drewnianego, ich martwoty. Nauczyć się i wdrożyć — w żaden sposób nie mogę. Z niezaprzeczoną, a wyraźnie odczuwaną zazdrością — patrzę czasami na pisarzy-kancelistów. O, gdybym mógł machinalnie przepisywać tylko! Wolałbym studjować kaligrafję całemi miesiącami, gdybym mógł zastosować ją w ten sposób! — Nie posuwam się ani na włos na służbie; co roku młodsi wstępują, awansują, wyprzedzają mię z szybkością całkiem zasłużoną... Ja sam i... ona, biedna Lila moja, przywykliśmy już do tego stanu rzeczy. Z początku rozpacz porywała — teraz apatja i tępe cierpienia. Ona nigdy słówkiem nie wspomni o tych sprawach.

Zrozumiała oddawna, o co chodzi... Bóg widzi, że ile tylko mocy mi staje i możności — staram się skrępować i wyłamać biedną moją naturę, by się nagięła do ciężkiego jarzma. I niedołężnie, żółwim krokiem, stąpa ten słaby ptak, któremu skrzydła łamią, by nie mógł latać — ptak w roli wołu, skrwawiony ptak nieszczęśliwy, rwący się ku błękitom!... A jednak przyznać muszę, że moja władza jest, swoją drogą, niezwykle pobłażliwą i względną dla takiego, jak ja pracownika. Wygląda to prawie na filantropję: wiedzą, że mam żonę i dziecko, więc litują się i trzymają...

Drżę jednak ciągle, aby świetnej posady tej nie stracić. Z prawdziwym heroizmem wysilam się i pracuję — jak mogę i jak umiem, wyrzekając się ulubionej, właściwej mej pracy. Tak... z heroizmem niezaprzeczonym, bo czynię to z takiem uczuciem męki, z jakiem by Kolumb naprzykład tłukł na drodze kamienie, zamiast puszczać się na okręcie ku ziemi wymarzonej. To co innego, że Kolumb był Kolumbem, ja zaś jestem może tylko lichym wróblem, któremu śnią się skrzydła orle — czulibyśmy w podobnym wypadku całkiem jednakowo, i poświęcenie nasze, męka, byłyby także jednakie.

Gdyby kto mógł mię widzieć z tego „mojego“ świata! drobnego i cichego urzędniczka, staranie i powoli kreślącego litery niedołężną ręką, by czego nie wypuścić lub nie powtórzyć, aby być „ścisłym i zrozumiałym“ — „ścisłym i zrozumiałym“, jak powtarza mój zwierzchnik z protekcyjno-uprzejmym uśmiechem. Gdyby mógł kto widzieć tego małego człowieczka, lękającego się łagodnej wymówki za drobne błędy, surowszej za grubsze! O jak bezpiecznie, jakże zacisznie się czuję pod moją maską literacką, co kryje „zdolnego pisarza“ — tak już nazwano mię jednak kilkakrotnie w listach prywatnych z redakcji. Tylko zapewne ci, co je pisali — zaledwie o tem mogliby przypomnieć sobie, gdyby ich kto o mnie spytał.

Tych biednych moich kilkanaście fragmentów przedzielają głębokie pokłady zapomnienia. Tak rzadko i mało pisać mogę, poświęcając na to marne resztki czasu, gdy wyczerpany już jestem służbą niewolnika, gdy chwile te odrywam od koniecznego wypoczynku, od pieszczot i szczebiotania Henryczka, którego nie mam mocy i chęci zsadzić sobie z kolan... A jednak nie mogą obejść się całkiem bez pióra, szczególniej od czasu... gdy z nią już tak mało i tak tylko mówić możemy. W redakcjach, jako nowicjusz, czekam długo kolei — to też drobiazgi moje ukazują się tylko w wielkich odstępach czasu. O jednych się zapomni, zanim

się drugie zjawią — i każdą razą występuję w roli początkującego autora. — Ludziom na razie podobają się... nawet bardzo — te moje „pauvres feuilles détachées“... ale niema spójni w tych luźnych wrażeniach i efektach. Nie wolno mi jest wypuścić raz po raz kilkunastu przynajmniej rakiet świecących, aby z nich pozostało wrażenie całego fejerwerku, całego błyszczącego obrazu, by mógł — oślepić publiczność. Tryskały jaskrawe iskry te rzadko i pojedyńczo, więc też nie mogły zarysować szerokiej linji świetlistej w pamięci tych, którzy mię czytali... Myśl, że posądzić mię mogą o brak tematów, brak wyobraźni i twórczości, boli mnie okrutnie, chociaż, z drugiej strony, przypominam sobie coraz częściej, że nikt zapewne nad tem nie medytuje....

(C. d n.) *Janina Baudouin de Courtenay.*

Jubileusz.

(Dokończenie).

Puścił się w podróż trochę przez ciekawość, więcej może na złość swym spadkobiercom. „Dotychczas robiłem majątek, — mówił — teraz używać go będę“. „Po co mam chować? dla kogo? Czemu się ktoś ma moją pracą bogacić?“ Sądził on świat i ludzi z punktu widzenia swej żelaznej szafy. Twierdził niezachwianie, że pieniądz jest wszystkiem, bo za pieniądze wszystkiego dostać można. Innych ideałów nie miał, do żadnych dzieł, czy to filantropijnych, czy humanitarnych się nie zapalał — był specjalistą od robienia grosza i chciał się teraz wyspecjalizować w używaniu go. Współwyznawców liczy on zresztą na świecie miljony, a różnił się od nich tylko tem, że miał odwagę swoich przekonań.

Byłem dla niego dogodnym towarzyszem i szczerze mnie polubił. Znalazł we mnie to właśnie, czego jemu brakło. Dzięki memu wykształceniu, mej wrażliwości na piękno, mej znajomości języków — byłem dla niego dogodnym cicerone. Umiałem mu pokazywać Europę — sam przy tem bogacąc się nowemi wrażeniami i spostrzeżeniami. Na wygodach mi nie zbywało; żyłem tak wystawnie, jak nigdy nikt z mych znajomych nie żył, a stary nie żałował mi grosza i co miesiąc mogłem żonie jakiś zasiłek przesyłać. Trapiła mnie tylko tęsknota za rodziną i niepokój o mych najbliższych. Rozbicie mego domowego gniazda było dla mnie ciosem bolesnym, lecz na razie pożądanym choćby dla tego, że mnie wyrwał z odrętwienia. Naturalnie wieść o mojem rozłączeniu się z żoną wywołała oburzenie w rodzinnem mieście i dobiła mnie w opinji. — „Porzucił żonę i dzieci, wołano! zostawił rodzinę w nędzy — szubrawiec!“

Jednakże to pobożne zgorszenie biednej żonie mojej wyszło na dobre. W prowincjonalnem miasteczku, gdzie miała pracownię sukien, zaczęto jej pod wpływem tych wieści szczere okazywać współczucie, jako niewinnej ofierze niegodziwego łotra. Miała dużo roboty, a choć pracowała ciężko, choć nie opływała w dostatki, zyskała przynajmniej względny spokój.

Przez dwa lata nie widzieliśmy się wcale — potem znowu rozłączyliśmy się na rok jeszcze.

W tym czasie umarł mój Adaś. — Nie widziałem go na łożu śmiertelnem, nie pożegnałem mego pierworodnego, nie byłem przy żonie wtedy, gdy w nią ten straszny grom uderzył.

Wątły jego organizm w pierwszych latach życia podgryzła nędza, tak jak pędraki podgryzają korzonki młodego zboża.

Staś i Helenka zapomnieli mnie, odwykli odemnie — patrzeli, jak na obcego, obojętnego gościa.

Musiałem na nowo odzyskiwać rodzinę.

A jednak przez te trzy lata bolesnej rozłąki — odżyłem. Byłem wolny od trosk materjalnych, nie troszcząc się o jutrzejszy obiad, zasypiałem snem spokojnym na wygodnem łóżku, pewny, że żadna ciężka, terminowa praca mnie nie zbudzi. — Nie potrzebowałem wcale pisać i dlatego pisałem z prawdziwą przyjemnością. Mojego towarzysza bawiły moje literackie aspiracje. Jak dziecko słucha bajek niańki — tak on słuchał opowiadania różnych epizodów mego życia. Poznawał przez nie świat zupełnie sobie nieznany, obcy, pełen osobliwości. — Miał zresztą na wszystko tylko jedną odpowiedź:

— Żebyś miał pieniądze, to byłbyś miał i talent i rozum i sławę i przyjaciół; — bez pieniędzy nic nie zrobisz.

Czasem musiałem mu czytać moje powieści i dramaty.

Bawiły go niekiedy, ale nie przywiązywał do nich wagi. — Widział jednak, że ja te rzeczy traktuję na serjo i zrozumiał, że one mogą stanowić podstawę mej egzystencji. — Postanowił mi dopomódz.

Naturalnie nie miałem najmniejszej ochoty dalszego ciągu mej literackiej karjery próbować w Lechowie.

Z zagranicy przywiozłem w tece kilka większych i mniejszych utworów obrobionych starannie i obmyślonych w spokoju.

Zacząłem konferencje z księgarzami, a spryt kupiecki mego towarzysza, nie małą mi był pomocą.

Dużo znaczyło i to, że nie radziliśmy nigdy na głodno i sucho, że mój stary nie żało-

wał na śniadanka, a urządzał te rzeczy, tak dyskretnie, że ja mogłem nieraz za amfitrjona uchodzić.

Ludzie jakoś chętniej wierzyli w mój talent, gdy sądzili, że on mi już spore przynosi dochody i tem większe przyznawali mi zarobki, im głębiej byli przekonani, że się bez nich obejść mogę.

Przestałem budzić współczucie, nie widywałem już min protekcjonalnych, nikt na mnie z góry nie spoglądał.

W krótkim czasie zdobyłem sobie stosunki — przyjaciół i wielbicieli, uznanie, sławę — a co najcenniejsze: odzyskałem dom własny i rodzinę względnym dostatkiem mogłem otoczyć.

Zwrot ten nastąpił dziwnie szybko.

Nie talentowi, nie pracy, nie zasłudze go zawdzięczam — tylko reklamie. Nie przekupywałem nikogo, ale dzięki pełnej kasie mego pryncypała odzyskałem swobodę ruchów, nie spotykałem na mej drodze przeszkód, mogłem być sobą, nie krępować się tysiącem względów i względzików, obaw i niepokojów, zresztą jako człowiekowi, który od nikogo nic nie potrzebował, a mógł niejednemu dopomódz, było mi dużo wolno. Jeżeli później moje osobiste dochody wystarczały mi i na pokrycie długów i na wygodne życie — to znowuż nie pracę moją opłacano ale firmę. — Przestałem się uganiać za groszem i grosz sam napływał obficie, nie szukałem zarobków, ale mi je ofiarowano.

Mogłem robić wybór w synekurach, które mi się nastręczały.

Zostałem naprzykład naczelnym redaktorem, z wysoką pensją i prawem niepokazywania się w redakcji, choćby przez rok cały. Postawiłem jako warunek, żeby zbyt wielkich pod mojem nazwiskiem nie puszczano w świat niedorzeczności, wypisałem kilka artykułów wiary, od których nie ustępuję; gdy mi zaczynali bruździć, pisałem piorunujący list z reprymendą dla moich — podwładnych — i na tem się moje obowiązki kończyły.

Ha! może dawniej za młodu byłbym się burzył o takie postępowanie, ja co byłem gotów życiem przypieczętować każde zdanie, mojem podpisane nazwiskiem, — ale nie byłem już tym samym, co dawniej.

Poznałem już całą bezowocność bohaterskich wysiłków i głęboką pustkę, którą każda wielkość pokrywa. Wiedziałem, że kto chce powiedzieć bezkarnie jedną prawdę, musi ją w bawełnę różnych fałszów owinąć, — bo świat — żywi się tylko podrabianemi produktami.

Co chcecie? życie teraz takie drogie, że o niefałszowaną cnotę jest równie trudno, jak o niefałszowane mleko.

Choćby kto tysiąc razy wolał być, niż wydawać się, to jeszcze na to, żeby być — musi się przedewszystkiem wydawać.

Ja dzisiaj — słuchajcie — ja dzisiaj w nic i w nikogo nie wierzę; — ja nawet już nie wierzę w siebie; sam nie wiem na pewno, czy to, co piszę, jest naprawdę dobre — czy się tylko takiem wydaje, bo wiem, że teraz choćbym palnął głupstwo kapitalne, jeszcze na tysiąc ludzi najmniej 990 znajdzie się takich, co je z nabożeństwem powtórzą:

— Tak powiedział Henryk Bojarski — to dosyć — I wiem, że tutaj przed 18 laty, gdybym był nawet ewangelję głosił, toby ją byli tylko ruszaniem ramion przyjęli, — bo ten biedny, albo ten niedowarzony — albo ten dziwak — Henryk tak mówi!

Ja mam teraz wszystko, co do zewnętrznych warunków szczęścia się liczy, mam zupełną możność wyzyskania wszystkich darów losu, mogę się cieszyć szczęściem rodzinnem, myśleć, pracować, działać — ale ta sprężyna, która do myślenia, pracy, działania pobudza — już pękła. — Straciłem wiarę, straciłem zapał do wielkich czynów i ja, co kiedyś świat na nowe chciałem pchnąć tory, dziś już nikogo nigdzie nie zaprowadzę, bo widzę, że jedne drogi są mylne, inne karkołomne, a tylko krętemi ścieżkami bezpiecznie chodzić można.

Każda, gwiazda choć tak pięknie świeci, jest taka sama szara i brudna, jak nasza ziemia, więc może to wszystko jedno, czy się do gwiazd ręce wyciąga, czy na czworakach chodzi?

Alboż ja wiem?!

Ach! kiedyś tu — w mojem mieście wszystko mi się zdawało tak proste, tak jasne. Rwałem się w górę, miałem skrzydła u ramion, patrzałem w słońce.

Myśl wielką rozniecć — niechaj płonie żarem —
A stanę się tej myśli, narzędziem, zegarem.
Na twarzy ją pokażę — popchnę serca biciem
Rozdzwonię wyrazami i dokończę życiem.

Mówiłem z poetą.

Tu pochowałem moje piękne marzenia, tu mi skrzydła połamano. Wyszedłem ztąd kaleką w świat szeroki i błądzę sobie — bez celu. — Przyszedłem zażądać od ciebie rachunku, — rodzinne gniazdo moje. Moja ściślejsza ojczyzno! — byłaś mi macochą. Obdarłaś mnie do ostatniej nitki, zabrałaś mi wszystkie moje skarby, a ten wspaniały płaszcz sławy, którego pożyczyłem, okrywa moją nagość i żebracze łachmany. Ja jeden wiem, jaka tam teraz pustka, wołał Henryk uderzając się w czoło, a tam przecież było coś!

Ostatnie słowa jego grzmiały jak piorun — nagle zamilkł, oczy ręką przysłonił i z łkaniem rzucił się na piersi Stefana.

Wybuch ten wywołał wśród obecnych pewne poruszenie.

Ci co się zdrzemnęli — przetarli oczy, ci co słuchali, zerwali się z miejsc i obstąpili kołem jubilata.

Przy końcu stołu, jakiś blady młodzieniec, który przez cały czas opowiadania notatki robił, zamknął książeczkę i schował ją do kieszeni, poczem trącił łokciem sąsiada:

— Słuchaj, zebrałem bardzo ciekawy materjał. Nikt tego mieć nie będzie, bo się wszyscy popili. — A gdy sąsiad się nie ruszał, dodał — „Co? ty także? wstawaj, chodźmy do domu“.

Wszyscy już zresztą zabierali się do wyjścia.

Nazajutrz pewna dama zagadnęła Gustawa B.

— Jak długo bawiliście się tam jeszcze w kasynie?

— Oh, prawie do rana. Był bardzo miły i serdeczny nastrój. Wszyscy swoją drogą mieli w głowie, a jubilat najwięcej. Gadał, gadał — potem się pokłócił ze wszystkimi, potem się popłakał, na końcu go wszyscy uściskali, — zaprowadzili do łóżka. Swoją drogą opowiadał bardzo ciekawe szczegóły ze swego życia. — Czy pani wie, że on całe swe powodzenie przypisuje reklamie? Ja to podejrzywałem; — taki wielki rozgłos, to się tylko może zrobić sztucznie. On sam zresztą w swój talent nie wierzy.

Moszczeńska

Ziemio, droga rodzicielko! *)

Ziemio, droga rodzicielko!
ukochałem zagon twój,
Choć tak skąpem sypią ziarnem
rzadkie kłosy twoich zbóż,
Że głód wtargnął w nasze chaty,
że w nich żółty zasiadł znój
I wyblakłem patrzy okiem
na stół pusty, w pustą kruż.

Nieraz skrada się pokusa:
porzuć, mówi, ciężki bój

*) Ze zbioru p. t. „Krzak dzikiej róży“.

Na tym łanie bezpłodności,
do spoczynku głowę złóż,
Choćby nawet tym spoczynkiem
Grób był cichy... Dłonie skuj,
By nie rwały się do pługa!
obok sennych zaśnij dusz!

Ziemio, matko najemników!
rodzisz plemię biednych sług,
Których nędza twa upadla,
przecież serce k'tobie lgnie,
A źrenica trwożnie śledzi,
czy nie idą lepsze dnie.

Ziemio! ziemio! smutna ziemio!
snać opuścił cię sam Bóg,
Lecz przeklęta myśl niech będzie,
coby chciała szepnąć mnie,
Abym zboczył choć na chwilę
z twych żałości pełnych dróg!

Jan Kasprowicz.

☆ Nowe książki. ☆

Dr. Zofja Daszyńska. Zarys ekonomji społecznej. Lwów, 1898.

Nowa książka z dziedziny ekonomji politycznej, oryginalnie napisany podręcznik o 350-ciu z górą stronicach, a do tego jeszcze kobiecego pióra, nie byłby zjawiskiem powszedniem w znacznie nawet bogatszej, niż nasza, literaturze naukowej. To też — jakkolwiek mógłby wypaść sąd o tej świeżej, na poważne zakrojonej rozmiary pracy p. Daszyńskiej — nie można pominąć jej milczeniem.

P. Daszyńska nie jest nowicjuszem w literaturze ekonomicznej, chociaż w początku swej karjery naukowej skłaniała się bardziej ku badaniom statystyczno-ekonomicznym. Świeżo wydany przez p. D. podręcznik stoi zapewne w związku z jej wykładami z ekonomji politycznej w Akademji Humboldta w Berlinie i na kursach dla kobiet w Krakowie.

Podzieliwszy cały materjał na powszechnie przyjęte w ostatnich czasach działy: o wytwarzaniu dóbr, ich zamianie, podziale i spożyciu, poprzedziła autorka ten wykład właściwej treści dwoma działami, z których jeden obejmuje różne kwestje metodologiczne oraz króciutki rys dotychczasowych systemów w ekonomji, drugi przedstawia „warunki rozwoju gospodarstwa społecznego“, a więc mówi o przyrodzie i społeczeństwie, ludności, o państwie i prawie.

Uznawszy za zjawisko typowe dla naszego stulecia kapitalizm, który autorka określa, jako „przewagę kapitału, pośrednie lub bezpośrednie jego oddziaływanie we wszystkich dziedzinach gospodarczego życia“, w wykładzie samej treści ekonomji zajmuje się p. D. już wyłącznie

prawie tą współczesną, kapitalistyczną formą gospodarstwa społecznego, gdzieniegdzie tylko dla wyjaśnienia swej myśli zawadzając o inne stadja rozwoju ekonomicznego. Niekiedy znowu wybiega autorka myślą poza ramy ustroju obecnego, kreśląc przyszłość pojedyńczych instytucji ekonomicznych lub nawet całości ewolucji ekonomicznej, prawie zawsze w tym wypadku zgodnie z aspiracjami t. zw. naukowego socjalizmu. „Ostatni bowiem — jak to podnosi p. D. w przedmowie — o ile niedostatecznym okazuje się w czysto teoretycznych swych działach, o tyle silnym jest, gdy chodzi o zrozumienie drogi ekonomicznego rozwoju. „Nadewszystko zaś — twierdzi autorka dalej — socjalizm konsekwentniej od innych teorji przeprowadza pojęcie rozwoju we wszystkich dziedzinach gospodarczego życia". Wykład swój gęsto przeplata autorka materjałem statystycznym, uwzględniając w znacznej mierze stosunki polskie, co z uznaniem podnieść należy.

Nie możemy na tem miejscu wdawać się w szczegółowy rozbiór „Zarysu", wymieniać te ustępy, w których uderza czytelnika niedostateczne przetrawienie materjału faktycznego, nagromadzonego przez p. D., albo zbyt pospieszne jej uogólnienia i horoskopy (o rolnictwie), braki w obrobieniu (że tu dla przykładu tylko wymienimy § 90 o przewidywanym układzie waluty), jakieś niedomówienia i brak ścisłości, utrudniające zrozumienie myśli autorki (np. str. 16 o różnicy faktów przyrodniczych od społecznych i psychicznych, str. 189 o pojęciu zamiany, str. 289 o stopie procentowej przy pożyczkach krótko i długoterminowych i t. p.).

Ograniczymy się na kilku tylko uwagach natury ogólnej. „Uprzedzając zarzuty, z którymi spotkać się może książka niniejsza, — pisze zaraz na początku swej przedmowy p. D. — pozwolę sobie wytłumaczyć w kilku słowach stanowisko, jakie zajęłam wobec ekonomicznych systemów i zjawisk. Za punkt wyjścia nie służyła mi żadna z wyznawanych dziś teorji"... To „unikanie systemów" jest w spółczesnej ekonomji zjawiskiem codziennem. Systemy, stworzone przez ekonomję klasyczną, należą już do przeszłości. Pozostał z nich u spółczesnych ekonomistów chyba tylko ów szematyczny podział wykładu na części: wytwarzanie, zamiana etc., którego się i autorka omawianej pracy trzyma. Ostatni system, usiłujący objąć w jednolitej syntezie całokształt zjawisk danej fazy ekonomicznej dał w swym „Kapitale" Marx (wraz z Rodbertusem).

W systemie Marxa, oprócz genjalnej konstrukcji, będącej jego własnością, znajdujemy uwzględnienie wszystkich tych istotnych nabytków, jakie poczyniła ekonomja polityczna po epoce klasycznej. A więc, mamy pojmowanie społeczeństwa, jako organizmu, ekonomji, jako części nauki społecznej, uwzględnienie zasady ewolucji itd.

Ale Marx i Rodbertus stoją w ekonomji politycznej samotni. Nie znalazł się dotychczas nikt, ktoby niedokończoną budowę tych twórców nowego systemu poprowadził dalej. Za takiego kontynuatora nie można, rozumie się, uważać Engelsa, gdyż jego zadanie, jako wydawcy dalszych tomów „Kapitału" Marxa ograniczało się tylko na uporządkowaniu materjałów, pozostawionych przez ostatniego. Inni ekonomiści epoki po-Marksowskiej ugrzęźli w spo rach metodologicznych, często jałowych, gdyż obracających się dokoła słów tylko, wysilali się na tworzenie coraz to nowych metod, a więc metody wprost historycznej, historyczno-etycznej, historyczno-fizjologiczno-etycznej, psychologicznej, nawet „ścisłej (exacte)", jakgdyby mogła być i nieścisła! Miejsce wspaniałej analizy klasyków i Marxa zajęły scholastyczne formułki, wreszcie dzielniejsze jednostki rzuciły się do monograficznych opracowań, a prace, ogarniające całość (np. Handbuch Schönberga) są niczem innem, jak zbiorem takich właśnie monografji, zupełnie niepowiązanych ze sobą. Wpływowi tego eklektyzmu uległa i autorka omawianego dzieła. Wykształcona w niemieckiej szkole ekonomicznej (pierwsze swe prace wydała nawet p. D. w języku niemieckim), trzyma się też p. D. tego dominującego w Niemczech kierunku.

Że systemy bywają, że do pewnego stopnia muszą być jednostronne, na to zgoda, ale jednostronność taka jest udziałem wszelkiej naszej wiedzy i nauki, która nie może przecie w całej pełni odbijać różnolitości konkretnego życia, a zawsze operuje abstrakcjami. Ale zbawienność i potrzeba systemu nigdzie tak się uczuwać nie daje, jak właśnie w podręcznikach tego rodzaju, jak praca p. D. Nigdzie też brak systemu nie jest tak szkodliwym, jak właśnie w dziełach, przeznaczonych „dla czytelników ogólnie wykształconych, lecz nie specjalistów". Takie balansowanie między rozmaitemi szkołami ekonomicznemi, które postawiła sobie za zasadę szan. autorka, nie daje często czytelnikowi jej „Zarysu" wytłumaczenia najważniejszych zjawisk życia ekonomicznego. Proszę przeczytać np. stronice, poświęcone procentowi (objaśnienie powstania procentu), albo zyskowi przedsiębiorcy (np. zdanie, że „zysk przedsiębiorcy powstaje jako wynik anarchji dzisiejszej produkcji!"). Co gorsza, czytelnik książki p. D. właśnie z powodu tego eklektycznego charakteru dzieła, powiązanego tylko nicią, że się tak wyrażę, socjalno-demokratycznej propagandy, oddany jest nieraz (np. w teorji wartości, procentu) na pastwę rozmaitych upiorów, jak się zdawało, przez krytykę naukową już na zawsze wygnanych z ekonomji. Mam tu na myśli np. taką teorję procentu Böhm-Bawerka (str. 291), która „powstanie procentu tłumaczy oddziaływaniem c z a s u na naszą ocenę zjawisk gospodarczych". Teorję tę nazywa autorka „bardzo zajmującym pomysłem", aczkolwiek uznaje ją za „zbyteczną" tylko. Innych słów krytycznej oceny nie znajdujemy w Zarysie. Jeszcze gorzej rzecz się ma z teorją wartości, gdzie jesteśmy bez nadziei wyjścia, wprowadzeni w labirynt tych scholastycznych dociekań i formułek o wartości subjektywnej, objektywnej itp. gdzie szukamy uzasadnienia wartości we „właściwościach gospodarującego człowieka",. — ściśle wedle recepty wulgarnej ekonomji politycznej Zauważę mimochodem, że wykład Marksowskiej teorji wartości (na str. 198) jest nieścisły. Marx nigdzie nie twierdzi, że „s i ł a r o b o c z a, mierzona czasem jest... miernikiem wszelkiej wartości".

(Dok. nast.).

Wiadomości bibljograficzne.

Mlynek Ludwik. Uwagi nad pieśniami ludu wielickiego. Napisał... kmieć ze Sierczy. Z ryciną. We Lwowie. Nakładem Towarzystwa ludoznawczego 1897. Str. 26. (Odbitka z „Ludu" III. zeszyt 4.).

Z drukarni Z. Golloba.